

Bezpieczeństwo a solidarność w debacie o migracji

W poprzednim artykule, [„Twierdza Europa’ nie pomaga w debacie o imigracji”](#), nakreśliłem takie granice debaty o polityce imigracyjnej, w ramach których dyskusja może prowadzić do konstruktywnych wniosków.

Uważam, że odrzucić należy zarówno pomysły rygorystycznej izolacji kontynentu, określane jako „Twierdza Europa”, jak i pomysły zwolenników „otwartych granic”.

Obydwie skrajności – chociaż ta druga próbuje uchodzić za propozycję racjonalną – będą prowadzić do ogromnych problemów społecznych i ekonomicznych.

Już samo odrzucenie tych skrajnych propozycji zmienia kształt debaty na temat imigracji, tak legalnej jak i tej nielegalnej, oraz migracji osób poszukujących azylu. Istotą problemu przestaje być dramatyczne pytanie „Wpuszczać czy nie?”. Rodziło ono wiele emocji, prowadziło do oskarżeń i odsądzania od czci i wiary oponentów stojących po drugiej stronie barykady, a także tych, którzy znajdowali się pomiędzy.

Miejsce burzliwej debaty społecznej, idealnie nadającej się do antagonizowania wyborców, ale nie do rozwiązywania problemów, może teraz zająć o wiele bardziej konstruktywna kwestia: „W jaki sposób zarządzać migracjami?”.

Uchodźcom należy się z naszej strony odpowiedź humanitarna, ale nie musi ona wcale oznaczać stymulowania masowej migracji do Europy.

Przy tak postawionym pytaniu, zamiast demonizować i zohydzać przeciwnika, jest miejsce na uznanie i próbę zrozumienia odmiennych stanowisk, które do tej pory były redukowane do wspomnianych wcześniej skrajności.

Można uznać, że na przykład część opinii publicznej bardziej skupiona jest na ryzyku utonięcia imigrantów i domaga się dla nich bezwarunkowej i natychmiastowej pomocy. Z drugiej strony są tacy, którzy widzą umożliwianie dotarcia do Europy w szerszym kontekście, jako stymulowanie masowej migracji.

Są tacy, którzy postrzegają imigrację jako korzystne zjawisko, wpływające na bogacenie się społeczeństw i są tacy, którzy widzą, zwłaszcza w tej masowej, zagrożenie dla spójności społecznej i bezpieczeństwa.

Na innej płaszczyźnie sporu znajdziemy tych, którzy chcą poszanowania dla różnorodności kultur i tych, którzy będą domagali się integracji do kultury wiodącej, bo brak wspólnych ram będzie podkopywał państwo prawa.

Możemy uznać te poglądy bez obrzucania się inwektywami typu „ksenofob” czy „nieodpowiedzialny pięknoduch”, „morderca” czy „zdrajca”.

To wszystko zebrane razem przypomina może skrajny symetryzm i przyznawanie równej racji postawom, wydawałoby się, sprzecznym i wykluczającym się wzajemnie. Przypomnijmy jednak, że problemem – w myśl przekształcenia go, postulowanego w tym tekście – nie jest „przyjmować czy nie”, lecz „w jaki sposób zarządzać migracją do Europy”.

Kluczowe wartości, wokół których ogniskuje się spór, to bezpieczeństwo i solidarność, a te nie muszą być realizowane na zasadzie jedna kosztem drugiej.

Czego więc, tak naprawdę, chcą różne strony sporu?

Ta, która bardziej akcentuje solidarność (z migrantami), nie chce, żeby ludzie tonęli w dramatycznej próbie przedostania się do Europy; żeby nie byli narażeni na wyzysk przemytników i całą trudną do pokonania drogę, żeby znaleźli bezpieczeństwo, żeby mogli rozwijać się ekonomicznie, a ich dzieci kształcić i myśleć o lepszej przyszłości. To bardzo szlachetne cele i

trudno się z nimi nie zgodzić. W ogóle trudno myśleć, że chciałoby się dla ludzi czegoś przeciwnego.

Druga strona, nazwijmy to bardziej zatroskana o bezpieczeństwo, nie chce ginąć w zamachach terrorystycznych, nie chce zwiększonej przestępczości ani radykalnego islamu i uważa, że stan bezpieczeństwa europejskich miast się pogarsza. Widzi też narastające podziały i skrajne organizacje rosnące w siłę.

W dodatku zatroskana jest bezpieczeństwem ekonomicznym, bo widzi, że ludzie migrujący masowo do Europy nie mają tych kwalifikacji, jakich europejski rynek potrzebuje. Dbalność o rodzinę i najbliższych jest także zaletą, a bez zaakceptowania trosk osób tak myślących nie będzie mowy o żadnym porozumieniu.

Oczywiście zamiast szukać innej drogi można brnąć w przekonywanie na siłę, że obawy ludzi zainteresowanych własnym bezpieczeństwem są przesadzone, że wszystko się ułoży, a poza tym migracja to jest normalne obecnie zjawisko i nie da się temu przeciwdziałać. Można też twierdzić z kolei, że co nas obchodzi los jakichś ludzi poza Europą, niech sobie radzą i nie ulegajmy emocjom.

Niestety z tego nie wyniknie wiele więcej poza narastaniem konfliktów społecznych wewnątrz samej „Twierdzy”, a pomijanie otoczenia Europy w rozważaniach o własnym bezpieczeństwie jest nie tylko egoistyczne, ale też krótkowzroczne i nieracjonalne.

Żeby podjąć świadomą decyzję o polityce imigracyjnej trzeba rozróżnić trzy strumienie imigracyjne: imigrację legalną, nielegalną (zwaną też nieuregulowaną) – do której zalicza się nie tylko próby nielegalnego przekraczania granicy, ale i pozostawanie na terytorium kraju przyjmującego, kiedy skończył się tytuł prawny pobytu, czy fałszowanie rzeczywistych powodów pobytu – i wreszcie jest migracja osób szukających bezpieczeństwa czy to z powodu konfliktów, czy prześladowań

politycznych.

Odróżnienie ich i dobre zrozumienie pozwoli nie tylko stosować odpowiednie narzędzia dla poszczególnych strumieni, ale pomoże też w kształtowaniu właściwych odpowiedzi dla całości. Do tego także da odpowiedź na pytanie, czy strony dyskusji kierują się być może podejściem ideologicznym, zamiast pragmatycznym.

Postulat jest o tyle ważny, że dochodzi bardzo często do mieszania tych strumieni. Krótkotrwała imigracja legalna staje się nielegalną poprzez proceder „visa overstaying”; nielegalne przekroczenia granicy próbuje się usprawiedliwiać względami humanitarnymi; przedłużające się procedury powrotu powodują, że prawnicy podnoszą często kwestie humanitarne, takie jak ustanie związków z miejscem pochodzenia.

To wszystko utrudnia nie tylko ochronę szeroko rozumianego bezpieczeństwa w krajach przyjmujących, ale także powoduje brak właściwej odpowiedzi dla osób, którym powinna przysługiwać pomoc.

Przedstawiając granice, w jakich może toczyć się debata, uznając różne podejścia i precyzując przedmiot sporu, można odnieść się do meritum, które rozwinę w następnej części rozważań.

W mojej ocenie legalna imigracja jest sprawą państwa i jego – nazwijmy ją nawet egoistyczną – polityki kształtowania gospodarki i społeczeństwa.

Polityka względem masowej nielegalnej imigracji wymaga współpracy na poziomie europejskim, bo przy otwartych granicach i wzajemnych zależnościach naszych gospodarek i czynników politycznych nie jesteśmy w stanie sami tego opanować.

Uchodźcom należy się z naszej strony odpowiedź humanitarna, ale nie musi ona wcale oznaczać stymulowania masowej migracji do Europy.

„Twierdza Europa” nie pomaga w debacie o imigracji

„Twierdza Europa” to określenie, które ma objąć jedną – negatywną – etykietką wszystkich przeciwników niekontrolowanej imigracji, obojętnie czy chcą całkowitego zamknięcia Europy przed imigrantami, czy raczej domagają się procedur identyfikacji, analizy i ewentualnej deportacji osób niemających tytułu do pobytu na terenie Unii Europejskiej.

Z pewnością jest część osób i organizacji, których działania odpowiadają takiemu określeniu, jak chociażby Die Rechte z Niemiec, Szturmowcy z Polski, Les Nationalistes z Francji czy Légió Hungária z Węgier. Organizacje te na zaproszenie Bułgarskiego Związku Narodowego założyły wspólnie organizację parasolową pod nazwą właśnie „Twierdza Europa”.

Hasło jest tak jednak nośne, że używane jest do opisanie skrajnie przeciwstawnych postaw, kiedy pojawia się kolejny kryzys imigracyjny. Dziennikarze, aktywiści i politycy próbują postawić nas przed wyborem „otwarte granice” czy „Twierdza Europa”?

Zwolennicy otwartych granic unikają dyskusji o zdolności do wchłonięcia niewykształconej siły roboczej przez rynek pracy, nie odpowiadają na pytania o drenaż mózgow z obszarów, które powinny rozwijać się poza Europą, a pojęcie integracji woleliby omijać szerokim łukiem



Z jednej strony bezmyślni fanatycy otwierania granic...

Amnesty International identyfikuje zamykanie granic z „Twierdzą Europa”. Dziennikarz „Wprost” Jakub Mielnik od 2015 roku do dzisiaj pisze o lęku przed imigracją, który buduje twierdzę, „żeby tylko z Bliskiego Wschodu nawet mysz nie przedostała się do UE”.



Z drugiej strony bezmyślni fanatycy rasizmu i

ksenofobii...

Carnegie Endowment for International Peace przestrzegało w 2016 roku przed „Twierdzą Europa”, która ma oznaczać większą obecność służb na granicach i skuteczność deportacji, przeciwstawiając to, nie wiedzieć czemu, wspólnej europejskiej aktywności w krajach źródłowych migracji.

Rada Europejska w 2019 roku użyła tej formułki ze znakiem zapytania – „Twierdza Europa?” – w tytule raportu dotyczącym migracji, która zdaniem autorów jest prostą konsekwencją globalizacji. Benjamin Ward z Human Rights Watch uważa szczelniejszą kontrolę granic za iluzję twierdzy, która nie przyniesie spodziewanych skutków i za populistyczne kreowanie kryzysu.

Twierdza jest więc synonimem czegoś nieprzyjaznego, związanego z przemocą, grubymi murami, wartownikami i dzieleniem. Dodatkowo w języku niemieckim, na co zwraca uwagę mój redakcyjny kolega Piotr S. Ślusarczyk, [„Festung Europa” kojarzy się z nazistowską determinacją](#) obrony do samego końca. Więc nie będzie chyba wielkim nadużyciem stwierdzić, że nazwa ta nie ma charakteru opisowego dotyczącego rzeczywistości lub projektu, lecz charakter propagandowy.

I z reguły używana jest przez zwolenników otwartych granic i niekontrolowanej imigracji, żeby przykleić osobom oczekującym zapewnienia bezpieczeństwa łatkę ksenofobii, zamknięcia się i mrocznych poglądów. Podczas gdy to właśnie osoby namawiające do braku kontroli, otwarcia granic, a nawet czasami zniesienia granic w ogóle, widzące w masowej migracji same korzyści, prezentują stanowisko skrajnie nieracjonalne. Czasem ulegają też emocjonalnemu fatalizmowi, że masowa imigracja jest nową normalnością i nic nie da się z tym zrobić.

„Twierdza Europa” potrzebna jest im do stworzenia wrażenia, że prezentowane przez nich propozycje są zdroworozsądkowym rozwiązaniem, mieszczącym się w centrum debaty politycznej.

Tak nie jest. Zwolennicy otwartych granic zwykle unikają odpowiedzi o granice zdolności recepcyjnej Europy, unikają dyskusji o zdolności do wchłonięcia niewykształconej siły roboczej przez coraz bardziej wymagający rynek pracy, nie odpowiadają na pytania o drenaż mózgow z obszarów, które powinny rozwijać się poza Europą, a pojęcie integracji woleliby omijać szerokim łukiem, żyjąc jeszcze w paradygmacie wielokulturowości.

Priorytetem stała się dla zwolenników otwarcia walka ze skleconym przez nich ad hoc, nacjonalistycznym chochołem pod nazwą „Twierdza Europa”. Ma on więcej wspólnego z dystopijnymi wizjami ściśle kontrolowanego miasta przyszłości otoczonego obszarem bezprawia, niż z rzeczywistym obrazem funkcjonowania państw w dzisiejszej Europie.

Nietrudno zauważyć, że pojęcie twierdzy zostało wypaczone w opinii publicznej kontynentu, który tworzył się w Średniowieczu, a liczne twierdze świadczą o tym, że w burzliwych czasach możliwość schronienia się za murami traktowana była jako szansa, a nie zagrożenie. Nie bezpodstawnie obawiano się tego, kto twierdzę atakował, a czarnym charakterem nie był ten, kto w twierdzy się schronił.

Twierdzami były ufortyfikowane miasta, klasztory czy grody. Twierdza była też symbolem władzy i stanowiła prawo. To raczej w obrębie twierdzy i w jej bliskości było bezpieczniej (promieniowała na okolicę), a bezprawie panowało na oddalonych szlakach. Piszę to bez romantyzowania tamtejszych czasów, ale miarę należy przyłożyć do ówczesnej epoki, a nie do tego, jak prawo i poczucie bezpieczeństwa pojmowane jest współcześnie.

Twierdza, gwarantując bezpieczeństwo, ściągała w swoją okolicę przedstawicieli pożądaných zawodów, intelektualistów, eksperymentatorów, prowadząc do rozkwitu miasta. Dzisiaj twierdza to synonim zamknięcia, strachu, zacofania i pozbawienia szans na rozwój. Gwałtowny rozwój Europy istotnie nastąpił, gdy twierdze odeszły w zapomnienie, ale jest to

raczej zbieżność w czasie, niż relacja przyczynowo-skutkowa. Twierdza została zastąpiona przez inne, adekwatne środki gwarantujące bezpieczeństwo, dlaczego więc mielibyśmy z nich dzisiaj rezygnować?

Osoby nazbyt pałające się do niwelowania granic [przestrzega dr Monika Gabriela Bartoszewicz](#), która w „Teologii Politycznej” w 2017 roku cytuje amerykańskiego filozofa Johna Rawlsa: „Zburzenie murów państwa nie jest (...) stworzeniem świata bez murów, a raczej stworzeniem świata, w którym znajdą się tysiące drobnych fortec”. Chciałoby się rzec, wypisz wymaluj Europa, gdzie pewne dzielnice są imigranckie, a bogatsi mieszkańcy kryją się za ogrodzeniami strzeżonych osiedli. Ludzie żyjący obok siebie, pozornie blisko, a jednocześnie w różnych przestrzeniach, coraz większa obecność uzbrojonych i umundurowanych służb we wrażliwych miejscach.

I nieszczęsne słowa europośła Janusza Lewandowskiego, kiedy zamachowiec zaatakował jarmark świąteczny w Strasbourgu: „Kolędy, życzenia i nagle zagrały smartfony: strzelanina w mieście, są ofiary, Europarlament zablokowany. Jarmark świąteczny, ściągający 2 mln gości – cel wymarzony! Na szczęście my daleko”. Byli niecałe trzy kilometry stamtąd, pieszo 30 minut – „Forteca Parlament”...

Właściwie to skrajne pozycje w debacie na temat polityki migracyjnej zajmują zwolennicy całkowitej izolacji, którzy mają poczucie „twierdzy oblężonej”, a na drugim biegunie są ci skoncentrowani prawie wyłącznie na aspekcie humanitarnym – zwolennicy „otwartych drzwi”. Przedstawianie tego jednak jako jedynej dostępnej alternatywy to upraszczanie debaty w celu podgrzewania emocji i unikania dyskusji na poziomie argumentów, których zazwyczaj brakuje tak stronom biorącym udział w takiej polaryzacji, jak i niestety mediom.

Spektrum leżące pomiędzy tymi skrajnościami „otwartych granic” i „Twierdzy Europa” zajmują wszyscy, którzy akceptują dwa brzegowe założenia dla debaty na temat imigracji. Czyli:

Europa nie ma nieograniczonych możliwości przyjmowania masowej imigracji, w dodatku w krótkim czasie i jednocześnie należy zrozumieć to, że ludzie, którzy do niej zmierzają, chcą poprawić swoje życie.

Pierwszy element jest aspektem racjonalnym, odwołującym się do ekonomicznych, organizacyjnych oraz społecznych ograniczeń, drugi do humanitarnej części naszej natury, potrafiącej postawić się w sytuacji drugiego człowieka.

Rozumiejąc te ograniczenia, mamy do dyspozycji pewien arsenał środków, których celem jest zagwarantowanie bezpieczeństwa Europejczykom oraz odpowiedź na potrzeby humanitarne osób spoza kontynentu.

Odrzucenie któregokolwiek z tych warunków będzie prowadziło albo do masowej imigracji, rosnących napięć społecznych, wyrastania granic wewnątrz Unii – w przypadku pierwszego, albo też do coraz bardziej narastającej presji imigracyjnej, dramatycznych prób dotarcia do Europy i humanitarnej katastrofy – w przypadku drugiego.

Kluczowe wydaje się więc pytanie: jak połączyć racjonalne zrozumienie sytuacji z ludzkim otwarciem się na sytuację innych osób? Próbę tego pozornego połączenia wody z ogniem podejmę w kolejnym artykule.

Jan Wójcik / obserwuj autora na Twitterze [@jankwojcik](https://twitter.com/jankwojcik)

Czy Europa ma plan „B” na imigrację?

Taka sytuacja zdarzyła się po raz pierwszy od kilku lat: w

marcu, według agencji Frontex, dostało się do Europy – Włoch, Hiszpanii, Grecji i Malty – przez Morze Śródziemne o połowę mniej imigrantów niż w lutym.

Spadek nastąpił pomimo chwilowego wzrostu liczby imigrantów przybywających do Grecji z Turcji na początku marca, kiedy Erdogan postanowił zaszantażować Europę, wysyłając do niej ludzi z obozów w Turcji. Próba okazała się nieudana, granice Unii pozostały zamknięte, ale w pierwszych dniach około 1900 osób przedostało się na łodziach na greckie wyspy. Jednak później ta droga została całkowicie odcięta i od 24 marca, przez cztery tygodnie, do Grecji nie przybył ani jeden nielegalny imigrant, co o tej porze roku jest niespotykane.

Nie znaczy to, że imigranci nie próbowali dostać się do Europy, bo łodzie wypływały, a młodzi mężczyźni szturmowali zasieki na granicy greckiej i w hiszpańskiej enklawie w Maroku, Melilli. To determinacja rządu greckiego (na granicy z Turcją) i panująca w Europie epidemia utrudniły im podróżę.

Malta i Włochy zamknęły swoje porty dla statków organizacji pozarządowych w związku z epidemią, twierdząc, że nie są obecnie „bezpiecznym schronieniem” dla imigrantów. Z Morza Śródziemnego wycofały się obecnie niemal wszystkie statki organizacji pozarządowych. Jeden z dwóch pozostałych, „Alan Kurdi”, zakotwiczony jest koło Sycylii z imigrantami na pokładzie, czekając na włoską decyzję, co z nimi zrobić.

Wiadomości o pieniądzach, które rządy europejskie rozdają swoim obywatelom dla przezwyciężenia skutków epidemii, na pewno się wśród imigrantów rozejdą, zachęcając ich do podróży. Imigranci wyławiani na Morzu Śródziemnym przez statki włoskie i libijskiej straży przybrzeżnej odwożeni są z powrotem do Libii. Ta jednak, zmagając się z wojną domową, ostatnio nie wpuściła statku odwożącego ich do portu w Trypolisie, twierdząc, że z powodu trwających walk nie jest tam bezpiecznie. Po kilku dniach zakaz cofnięto, ale precedens został zrobiony – Libia może okazać się wkrótce niezdolna do

odbierania imigrantów.

Jeśli tak się stanie, Europa nie ma planu B. W Libii jest około 600-650 tysięcy imigrantów, którzy chcieliby przedostać się do Europy. Jeśli wojna domowa się zaostrzy, sytuacja humanitarna i zdrowotna pogorszy, znaczna część tych ludzi będzie próbowała szczęścia na łodziach. Co się z nimi stanie, jeśli włoskie porty pozostaną zamknięte, a do Libii nie będzie ich można odesłać?

Malta, która położona jest najbliżej Afryki, a do której w zeszłym roku trafiło ponad 4 tysiące osób, zaproponowała, żeby Unia przeznaczyła natychmiast 100 mln euro na pomoc żywnościową i medyczną dla imigrantów w Libii, aby powstrzymać ich przed podróżą do Europy. Nie są to na pewno pieniądze wystarczające, ale pomysł jest sensowny: jeśli nie można ich ani przyjąć, ani odesłać, to należy zrobić wszystko, żeby nie próbowali wyruszyć z Libii. Zagwarantowanie im, że nie umrą tam z głodu i chorób, jest krokiem w dobrym kierunku. Tyle, że Unia musi być przygotowana na wydanie znacznie większych pieniędzy, bo 100 mln dolarów to suma, która starczy może na miesiąc.

Epidemia koronawirusa i nadchodzące w Europie bezrobocie nie odstraszą imigrantów przed próbami przedostania się przez Morze Śródziemne do Europy. Nawet wegetacja bezrobotnego imigranta w Europie jest dużo lepsza, niż wegetacja bezrobotnego imigranta w Libii czy Turcji. Wiadomości o pieniądzach, które rządy europejskie rozdają swoim obywatelom dla przezwyciężenia skutków epidemii, na pewno się wśród imigrantów rozejdą, zachęcając ich do podróży.

A jeśli skutkiem epidemii koronawirusa w Afryce i Azji będzie obniżenie i tak niewysokiego poziomu życia i większe bezrobocie tamtejszej ludności, to możemy się spodziewać raczej zwiększenia fali chętnych do przybycia do Europy.

Dlatego Europa, zajęta epidemią, nie może zapomnieć, że setki

tysiący ludzi czekają na drugim brzegu Morza Śródziemnego, a miliony w krajach Azji i Afryki na szansę zamieszkania na naszym kontynencie. Mówiono kiedyś o stworzeniu hot spotów, które miałyby służyć oddzielaniu azylantów od nielegalnej imigracji, sami [pracowaliśmy nad taką propozycją w międzynarodowej grupie](#), ale plany te nie zostały zrealizowane. O ile kilka miesięcy temu stworzenie długookresowej strategii powstrzymania imigracji było sprawą ważną, to dzisiaj staje się w dodatku sprawą bardzo pilną.

Grzegorz Lindenberg

Czy przyjąć dzieci z greckich wysp?

Jako część unijnego programu pomagania Grecji w kryzysie imigracyjnym, Komisja Europejska proponuje przyjęcie przez chętne kraje dzieci, głównie pozbawione opieki, a przebywające w obozach dla imigrantów na greckich wyspach.

Nie chodzi o imigrantów na granicy turecko-greckiej tylko o tych, którzy przybyli do Grecji w ostatnich kilku latach. W obozach mieszka obecnie 42 tysiące osób, w tym około 5500 dzieci nieletnich bez opiekunów. Część z nich jest poważnie chora, a dziewczynki zagrożone są gwałtami, które w obozach regularnie się zdarzają. W tym tygodniu do Grecji udaje się na rozmowy w sprawie dzieci unijna komisarz Ylva Johansson.

Chęć przyjęcia dzieci wyraziło pięć krajów unijnych: Niemcy, Francja, Portugalia, Luksemburg i Finlandia. Same Niemcy gotowe są przyjąć do 1500 dzieci, chęć ich przyjęcia zgłosiło

140 niemieckich miast. Według niemieckich władz chodzi o dzieci poważnie chore, albo w wieku poniżej 14 lat i nie mające opiekunów, głównie dziewczynki.

Polska mogłaby przyłączyć się do tej „koalicji chętnych”, przyjmując kilkadziesiąt dzieci potrzebujących pomocy medycznej albo tymczasowego domu. W niczym nie zagroziłoby to bezpieczeństwu naszego kraju; taka liczba nie groziłaby też przyszłym przekształceniem się w enklawy imigracyjne – nawet gdyby do dzieci przybyli rodzice. W Polsce przebywa w tej chwili co najmniej kilkanaście tysięcy pracowników tymczasowych z krajów muzułmańskich i nie stanowią problemu, tym bardziej problemu nie stanowiłyby dzieci.

Warunkiem podstawowym musi być jednak zapewnienie, że rzeczywiście przyjadą potrzebujące pomocy dzieci, a nie dorośli, którzy udają nieletnich, jak to się masowo działo w Niemczech i Szwecji, gdzie nie przeprowadzono badań wieku „ze względu na godność imigrantów”. Medyczne badania wieku powinny być obowiązkowe i zgoda wydawana tylko w nie budzących wątpliwości przypadkach osób poniżej 14 lat.

Gotowość Polski do przyjęcia grupy dzieci z Grecji byłaby symbolicznym gestem, pokazującym, że jesteśmy gotowi pomóc w rozwiązaniu problemów z obozami na greckich wyspach i że nasz sprzeciw wobec niekontrolowanej imigracji nie oznacza, że jesteśmy nieczuli na cierpienia dzieci. Znalazły się one w greckich obozach niezależnie od swojej woli, nie powinny więc cierpieć ani za decyzje swoich rodziców wysyłających je w niebezpieczną drogę, ani za niesprawność Grecji w radzeniu sobie z przybywającymi na wyspy dorosłymi imigrantami.

Decyzja, którą podjęła Komisja Europejska, nie grozi zalewem Unii przez tłumy nieletnich, pozbawionych opieki. Rodzice wysyłają ich wtedy, gdy widzą szanse na dostanie się dzieci do Europy i stanowią one tylko niewielki procent ogółu imigrantów. W tej chwili, gdy Grecja broni swojej tureckiej granicy, szanse te są bardzo niewielkie. Jeśli z jakichś

powodów znajdą się sposoby na docieranie nielegalnych imigrantów do Europy, to będziemy mieli głównie problemy z dorosłymi, młodymi mężczyznami, a nie z nieletnimi dziewczynkami.

Polska opinia publiczna jest przeciwna przyjmowaniu imigrantów i ich relokacjom; to stanowisko, z którym się zgadzamy, ponieważ relokacja nie rozwiązuje problemu, lecz jedynie napędza imigrację. Ale uważamy, że w sytuacjach nadzwyczajnych trzeba ważyć rozmaite racje i skoro nie ma zagrożenia dla naszego bezpieczeństwa, to powinniśmy dać głos współczuciu.

Stowarzyszenie Europa Przyszłości, wydawca portalu Euroislam.pl

Euroislam: czekając na utopię

Temu, że muzułmanie jako jednostki od dawna są częścią Europy, nikt nie ma zamiaru zaprzeczać. Natomiast do powstania europejskiego islamu, dającego się pogodzić z wartościami demokratycznymi i humanistycznymi, jest jeszcze bardzo daleko.

Pytanie, czy islam przynależy do Europy od lat prowadzi do kontrowersyjnych debat. Linia konfliktu przebiega przede wszystkim między tymi, którzy na to pytanie udzielają bezwarunkowej odpowiedzi twierdzącej, a tymi, którzy kategorycznie się przed tym wzbraniają. Jedno jest faktem: do europejskiego islamu, dającego się pogodzić z wartościami demokratycznymi i humanistycznymi, jest nam jeszcze bardzo daleko.

Muzułmanie jako pojedynczy obywatele i obywatelki od dawna są częścią Europy, to nie ulega kwestii. Jednak wobec wyzwań, z którymi kraje europejskie muszą się borykać z powodu

politycznego i tradycyjnego islamu, należy zastanowić się nad naturą i granicami relacji między Europą i muzułmanami, i odpowiedzieć na pytanie, co w pierwszym rzędzie definiuje życie europejskich muzułmanów.

Islam nie jest monolityczną formacją wyznaniową, w tym sensie nie można mówić o jednym islamie, gdyż każdy jego odłam podlega wpływom kulturowym, etnicznym i jednostkowym. Są w nim jednak dwa główne nurty: islam polityczny, który chce narzucić europejskim społeczeństwom fundamentalistyczną interpretację Koranu oraz przekształcić instytucje i życie publiczne w duchu prawa szariatu, oraz tradycyjny islam, przyniesiony do Europy przez pierwsze pokolenie muzułmańskich imigrantów.

W przypadku tradycyjnego islamu mamy do czynienia ze społeczną i kulturową formą, która wprawdzie nie dąży do narzucenia szariatu niemuzułmanom, ale która ma trudności z zaakceptowaniem indywidualizmu, zarówno wewnątrz jak i na zewnątrz wspólnoty muzułmańskiej. Tak więc tradycyjny islam często jest w konflikcie z tymi osobami wywodzącymi się z jego kręgu kulturowego, które chcą prowadzić świecki tryb życia.

Całkiem sporo liderów islamskich wspólnot i niestety zbyt wielu muzułmańskich mężów, ojców, wujków, braci i kuzynów nie szanuje pragnienia wolności u pojedynczych muzułmanów, próbując narzucać własne wartości i poglądy całej społeczności. Ofiarą takiej postawy padają przede wszystkim kobiety.

Podczas gdy europejski liberalizm kładzie nacisk na jednostkę i jej prawo do niezależności, islam stanowczo stawia zbiorowość ponad jednostką. To jednostka musi podporządkować się wspólnocie, islamskiej ummie, a nie na odwrót. Jednostkową wolność ogranicza się przy pomocy religijnych tabu i nakazów. Każda próba przeciwstawienia się tym naciskom jest uważana za zdradę własnej religii. Osiągnięcia zachodniego Oświecenia – w tym prawo kobiety do wyboru stylu ubierania się, do kochania kogo się chce, prawo kobiety do poślubienia niemuzułmanina,

albo prawo do seksu przedmałżeńskiego czy porzucenia religii – są dla „prawdziwego” muzułmanina niedostępne.

Nic dziwnego, że wielu europejskich muzułmanek i muzułmanów czuje się rozdartymi. Z jednej strony poczuwają się do lojalności wobec swojej religii, z drugiej strony są konfrontowani z liberalną postawą świeckiego społeczeństwa, które nie postrzega ich jako części kolektywu, lecz jako jednostki ponoszące odpowiedzialność za swoje postępowania. Powszechnie podtrzymywana przez islam narracja winy, hańby i zdrady jeszcze dodatkowo podsyca te przeciwieństwa.



Czy europejski islam pozostanie utopią? Foto:
<http://futureislam.com/>

To zasadnicze rozdwojenie utrudnia życie zwłaszcza młodym muzułmanom. Nie tylko uniemożliwia im integrację ze społeczeństwem, ale czyni też niektórych z nich szczególnie podatnych na wpływy radykalnych islamistów, ponieważ w ich sytuacji regres do surowej religijności wydaje się wybawieniem, sposobem odpokutowania za popełnione „światowe” grzechy. Dokładnie na tym bazują rekruterzy ekstremistycznych ugrupowań, a zamachowcy, którzy przeprowadzili ataki w Paryżu i w Brukseli, właśnie w taki sposób zostali zwerbowani.

Szerzenie religijno-ekstremistycznej interpretacji islamu, według której religia jest nie tylko osobistym wyznaniem wiary, ale również programem społecznym i politycznym, przyczynia się do izolacji europejskich muzułmanów od ich bliższego i dalszego otoczenia. Ta fundamentalistyczna wykładnia jest zwłaszcza popierana przez muzułmańskich intelektualistów, znanych jako członków albo sympatyków Bractwa Muzułmańskiego.

CYTAT

Dobrym przykładem jest tu zamieszkały w Genewie i posiadający obywatelstwo szwajcarskie Tariq Ramadan, wnuk teologa i założyciela egipskiego Bractwa Muzułmańskiego Hassana al-Banny. W swojej książce *Muslims in Secularism: Responsibilities and Rights of Muslims in Western Societies* przekonuje on, że islam nie jest tylko religią, ale również zestawem zasad odpowiednich dla każdej sytuacji życiowej.

Ramadan, podobnie jak inni wpływowi islamscy uczeni i duchowni, opowiada się za tym, żeby islam dla muzułmanów w Europie był jakby drugą naturą, sposobem życia. Ramadan od dawna jest stawianym za wzór modelem do naśladowania, jego idee padają na podatny grunt. Świadczy o tym rosnąca religijność drugiego i trzeciego pokolenia muzułmanów, a przede wszystkim popularność politycznego islamu we Francji.

A więc czy islam przynależy do Europy? Jeśli pytanie zostanie postawione w tej formie, mniej chodzi tu o integrację muzułmanów jako jednostek, a bardziej o integrację islamu samego w sobie. Pomijając już, że nie taki powinien być cel europejskiej polityki integracyjnej, należy wątpić, czy większość muzułmanów w Europie w ogóle chce się zintegrować. Jak pokazują różne ankiety i badania, wielu z nich nadal odrzuca powszechne prawa człowieka. Powołują się natomiast na nienaruszalność prawa szariatu i nalegają na konieczność jego implementacji.

Przeprowadzone niedawno badanie think-tanku European Values

pokazuje, że 44 procent europejskich muzułmanów jest zwolennikami fundamentalistycznych dogmatów. Wielu uważa za wiążące fatwy wydawane w ich dawnych ojczyznach, w których imamowie nawołują do zabijania apostatów.

Tak zwana Europejska Rada Fatw i Badań, będąca częścią siatki Bractwa Muzułmańskiego, naprawdę nie ma nic wspólnego z Europą i jej świeckimi wartościami. Ta rada, na czele której stoi egipski duchowny Jusuf al-Karadawi, ogłosiła, że apostazja, porzucenie religii, jest zagrożeniem dla islamu, a muzułmanie wszędzie mają obowiązek eliminowania apostatów.

Chociaż większość muzułmanów w Europie odrzuca przemoc, trudno jest – z powodu braku indywidualnych swobód, braku praw kobiet i dzieci, a także z powodu sympatii, jaką w międzyczasie zaczął się cieszyć polityczny islam w drugim i trzecim pokoleniu muzułmanów – mówić o europejskim islamie. Marzenie albo raczej projekt stworzenia przyjaznego człowiekowi, dającego się pogodzić z nowoczesnymi demokratycznymi wartościami islamu, jest na razie utopią. Pozostanie nią, przynajmniej tak długo, jak długo idea humanistycznego islamu nie stanie się bardziej popularna w samych krajach muzułmańskich.

Wkład Europejczyków może tu polegać na poddaniu krytycznemu badaniu ich własnego zrozumienia wielokulturowości i relatywizmu kulturowego, gdyż multikulturalizm i relatywizm kulturowy dostarczają zbyt prostych odpowiedzi na złożone pytania. Zamiast redukować muzułmanów do ich rzekomo naturalnej roli członków własnej wspólnoty religijnej i postrzegać ich jako homogeniczną zbiorowość, Europejczycy muszą konsekwentnie traktować osoby wyznania muzułmańskiego jako jednostki same odpowiadające za własne postępowanie.

Polityka tożsamościowa nie pomoże integrować muzułmanów w Europie, nawet jeśli liberałowie i lewicowcy myślą, że promując ją stają w obronie praw muzułmanów. W rzeczywistości jest dokładnie na odwrót: w ten sposób idą na rękę islamistom,

dając im możliwość przedstawiania samych siebie jako liderów i rzeczników muzułmańskiej ummy. Co więcej: polityka tożsamościowa ułatwia też prawicowym populistom piętnowanie i marginalizowanie muzułmanów jako homogenicznej, niedającej się zintegrować i niebezpiecznej grupy.

Salafici i członkowie Bractwa Muzułmańskiego, którzy z powodu prześladowań uciekli do Europy z ojczystych krajów, od pierwszego dnia swej politycznej działalności skupiają się na pozyskaniu europejskich muzułmanów dla swojej reakcyjnej i antyliberalnej agendy. Europa zbyt długo w imię fałszywie pojętej tolerancji przyglądała się temu procederowi, stając się w ten sposób – przede wszystkim we Francji i w Anglii – bezpiecznym zapleczem dla ideologów fundamentalistycznego, dżihadystycznego islamu.

Najwyższy czas, żeby europejscy politycy i intelektualiści wreszcie skorygowali błędne oceny i opinie z przeszłości. Wspólną podstawą dla pomyślnej koegzystencji wszystkich może być tylko poszanowanie powszechnych praw człowieka. Jedno jest pewne: jednostkom takie prawa przysługują, religiom i ideologiom – nie.

Kacem El Ghazzali

Marokańczyk, były muzułmanin, z wyboru apostata i ateista. Zasiada w Międzynarodowej Unii Humanistycznej i Etycznej i jako jej przedstawiciel uczestniczy w posiedzeniach Rady Praw Człowieka ONZ. Znany jest z oskarżycielskich wystąpień dotyczących łamania praw człowieka w krajach muzułmańskich.

Tłumaczenie Rolka, na podst. <https://kacemelghazzali.com/>

Imigranckie gangi ogrywiają Niemcy

Piotr Ślusarczyk

Organa wymiaru sprawiedliwości nie wiedzą, ilu sprawców przestępstw klanowych trafia przed oblicze sądu, nie wiedzą także, jak wygląda skala problemu, nie znają wartości skonfiskowanych przedmiotów, nie są w stanie powiedzieć, kogo powinno się deportować – alarmuje niemiecki portal Focus.de.

Dziennikarze badający sprawę nazywają tłumaczenia władz w tej sprawie „absurdalnymi”.

Władze nie zbierają informacji

Termin „przestępstwo klanowe” wszedł do języka całkiem niedawno. W ubiegłym roku „przestępstwo klanowe” niemal nie schodziło z nagłówek niemieckich gazet. Na skutek tego dziś nazwiska przywódców tych mafijno-imigranckich organizacji za naszą zachodnią granicą znają niemal wszyscy. Walka z ich działalnością przykuwa uwagę prasy – konfiskaty drogich samochodów, naloty na bary z sziszami, konfiskaty nielegalnie przejmowanych nieruchomości przypominają scenariusz filmów akcji.

Jednak nie wiadomo, czym kończą się spektakularne akcje policji. Czy przestępcy działający w ramach wielodzietnych, zamkniętych i rządzących się własnymi prawami rodzin arabskich słyszą zarzuty prokuratorskie? Czy stają ostatecznie przed sądem? Czy dostają wyroki skazujące? Odpowiedzi na powyższe pytania nie znają władze Berlina, Dolnej Saksonii, czy Nadrenii Westfalii, które zmagają się z przestępczością klanową. To właśnie stolica Niemiec, a także Essen, Kolonia oraz Brema stanowią centra tego rodzaju przestępczości.

Definicja też jest problemem

W najbardziej zaludnionym landzie Niemiec, Nadrenii Północnej-Westfalii, od lat działa ponad 100 gangów pochodzenia tureckiego i arabskiego, które między 2016 a 2018 rokiem popełniły ponad 14 tysięcy przestępstw. Jednak dokładnej skali problemu władze nie znają. „Prokuratura i sądy w Nadrenii nie prowadzą oddzielnych i kompleksowych statystyk postępowań śledczych lub karnych, dotyczących przestępczości klanowej” – powiedział dziennikarzom Focus Online Dirk Reuter z ministerstwa sprawiedliwości Nadrenii Westfalii.

Prokuratura tłumaczy się tym, że termin przestępstwo klanowe jest zbyt szeroki i obejmuje jednocześnie zwykłe konflikty z prawem oraz przestępczość zorganizowaną. Takie stanowisko władz może dziwić, gdyż od 2018 roku działają specjalnie wyznaczeni prokuratorzy do spraw zwalczania przestępstw klanowych, współpracując z policją, pracownikami urzędów pracy oraz biurami ds. cudzoziemców. Wiadomo, że od tego czasu prokuratorzy nadzorowali 900 dochodzeń związanych z przestępczością klanową. W podobnym tonie wypowiadają się przedstawiciele władz Berlina, wskazując na lukę systemową, jaką jest brak jednolitej i w miarę ostrej definicji tego rodzaju przestępstwa.

Zrabowane miliony

Do opinii publicznej przedostały się jedynie informacje o niektórych przestępstwach. Szefa klanu Arafata Abou-Chakera udało się wsadzić do więzienia na dziesięć miesięcy za groźby karalne i napad. Rodzina Remmo i jej wspólnicy mieli w 2017 r. ukraść z Muzeum Bode w Berlinie słynny Big Maple Leaf (wyceniany przez niektórych nawet na 4,5 miliona dolarów). Skarbu nie udało się odzyskać. Przepadła także gotówka, biżuteria i papiery wartościowe zrabowane z jednego z berlińskich banków. W tej sprawie udało się skazać tylko jednego mężczyznę.

Latem 2018 roku policja skonfiskowała członkom gangu Remmo 77

nieruchomości o łącznej wartości ponad 9 milionów euro. Podejrzewa się, że zostały one zakupione m.in. za pieniądze pochodzące ze sprzedaży Big Maple Leaf. Jednego z braci Remmo udało się skazać na dwa i pół roku więzienia za włamanie do siedziby producenta narzędzi hydraulicznych. Wyrok nie jest jednak prawomocny.

Według policji palestyńsko-kurdyjski gang Remmo składa się z ok. 500 osób, które dopuszczają się kradzieży, handlują narkotykami, zajmują się praniem brudnych pieniędzy. Policji berlińskiej udało się ustalić, że osiemnastu najbardziej wpływowych i zarazem aktywnych członków sieci przestępczej popełniło łącznie 200 przestępstw.

Deportowany mafiozo ubiega się o azyl

Między 1989 a 2014 rokiem sądy skazywały Ibrahima Miriego aż 19 razy. Ma na swoim koncie cały wachlarz przestępstw, w tym rabunki, kradzieże, paserstwo, malwersacje i zorganizowany handel narkotykami. W lipcu 2019 r. Niemcy deportowały przestępcę do Libanu. Po czterech miesiącach Miri pojawił się z powrotem w Bremie, by ponownie złożyć wnioski o azyl. Kiedy Federalny Urząd ds. Migracji i Uchodźców (BAMF) odrzucił wnioski, przywódca gangu odwołał się do sądu administracyjnego. Sędziowie w listopadzie 2019 r. orzekli, że Liban „nie jest miejscem niebezpiecznym dla życia, zdrowia i wolności”. Na podstawie tej decyzji możliwa była ponowna deportacja Miriego. „Nie ma żadnej gwarancji, że pan M. nie będzie próbował ponownie nielegalnie wjechać do Niemiec” – zastrzega przedstawicielka władz Bremy odpowiedzialnych za porządek publiczny.

Deportacja przestępcy nie rozwiązała problemu przestępczości klanowej w mieście. Bremeńska policja szacuje, że około 3500 tysięcy Kurdów liczy krąg przestępczy stworzony przez Ibrahima Miriego. Do grudnia 2019 roku udało się przesłuchać ok. 1800 osób na okoliczność rozmaitych przestępstw – od kradzieży w sklepie do zabójstwa. Nie wiadomo jednak, ile spośród nich

udało się skazać.

Poprawność polityczna i bezradność państwa prawa

We wrześniu 2018 r. jeden z przywódców gangu klanowego Nidał Rabiha został zastrzelony na ulicy Berlina. Mężczyzna wcześniej spędził ponad trzy lata w więzieniu i to stamtąd kierował gangiem. Ktoś z imigranckiego półświatka postanowił uczcić pamięć Rabiha ogromnym murałem przy Tempelhofer Feld, stylizując jego portret na palestyńskiego męczennika. Władze stolicy Niemiec uznały, że „dzieło” sławiące gangstera należy usunąć. I tutaj pojawiły się problemy. Wiele firm odmówiło zamalowania graffiti, gdyż bało się zemsty arabskiego klanu. Ostatecznie bezpieczeństwa malarzy musiała bronić policja.

Nawet jeśli policji uda się zatrzymać członka gangu, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że sąd z braku dowodów będzie musiał go wypuścić. Świadkowie przestępstw często boją się zeznawać przeciwko wpływowym i brutalnym klanom. Poza tym dla wielu imigrantów niemieckie państwo nie jest wspólnotą, wobec której należy zachować się lojalnie. Nierzadko imigranci oraz obywatele Niemiec z imigracyjnym tłem traktują policję i sądy jak instytucje obce i wrogie, a tych, którzy z nimi współpracują, naznaczają piętnem zdrajcy.

Do tego jeszcze dochodzą różnice kulturowe. W Europie myśli się o rodzinie w wąskich kategoriach, zaś w krajach, z których pochodzą imigranci, do najbliższego kręgu zalicza się średnio 200 osób. Lojalność wobec klanu jest wartością najwyższą, gdyż to on zapewnia bezpieczeństwo, ale także karze niepokornych i niepodporządkowanych.

Do działalności przestępczej nierzadko wciąga się dorastających chłopców, ponieważ odpowiadają oni za swoje czyny przed sądami dla nieletnich. Stąd też pomysł, żeby Jugendamt mógł odbierać dzieci wychowywane w strukturach mafijno-rodzinnych. Siła przestępczych klanów rosła stopniowo od końca lat 90., jednak dopiero od paru lat problem ten stał

się przedmiotem debaty publicznej. Z powodu poprawności politycznej milczano na temat przestępstw popełnianych przez tureckie, libańskie, kurdyjskie czy arabskie gangi. Ten swoisty parasol ochronny sprawiał, że łamiący prawo stawali się coraz bardziej zuchwali i mogli, przekonani o własnej bezkarności, śmiać się sędziom i policjantom w twarz.

Policjantom, dla których władze Berlina chcą zorganizować pomoc psychologiczną, by „odpowiednio interpretowali” rzeczywistość, gdyż codzienne zmagania z przestępczością imigrantów sprawia, że u funkcjonariuszy rodzą się nastroje „skrajnie prawicowe”. Jeżeli jednak zwykli obywatele będą w dalszym ciągu oglądać triumf przestępców oficjalnie utrzymujących się z zasiłków, oraz doświadczać bezradności państwa, podobne nastroje będą się umacniać. Chroniąca przestępców poprawność polityczna napędza poparcie dla AfD i podważa zaufanie do państwa. Niewykluczone, że to właśnie skala przestępczości pospolitej, a nie terroryzm, stanie się zarzewiem otwartego konfliktu społecznego w miastach, w których istnieją strefy imigranckie z trudem kontrolowane przez państwo.

www.focus.de

www.rp.pl

wpolityce.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Problem migracji potrzebuje kompromisu

Heinz Theisen

Liberalizm w ostatnich stuleciach, a liberalna demokracja w

ostatnich dziesięcioleciach, miały w zachodnim świecie bezprecedensową historię. Również upadek radzieckiego socjalizmu wynika między innymi z przesunięcia paradygmatu z kolektywizmu na indywidualizm.

Globalny proces usuwania granic po upadku muru berlińskiego przetasował karty liberalnych demokracji. Rosja, Chiny, islamizm, a nawet Turcja kwestionują ich supremację. Migranci chcą – co zrozumiałe – uczestniczyć w ich dobrobycie, ale można także rozumieć obawy tych, którzy sami mają zbyt mało, aby coś milionom imigrantów oddać. Nic dziwnego, że w przypadku takich dylematów nie debatuje się otwarcie o kompromisach.

Świat wielobiegunowy nie polega już na uniwersalności Zachodu, ale na jego samowystarczalności. Względny upadek i wewnętrzne słabości liberalnych demokracji wprowadzają na scenę starych i nowych wrogów. Społeczeństwa otwarte są spolaryzowane i kontrowersyjne, szczególnie w odniesieniu do nowego podstawowego konfliktu – między otwartością a stawianiem granic.

Między utopią a regresją

Podczas gdy stara lewica trzyma się kurczowo swoich przekonań, nowa prawica grozi zamknięciem się w geście regresywnej obrony. Ich wzajemne obrzucanie się błotem uniemożliwia poszukiwanie nowych dróg między globalizmem a nacjonalizmem. Nowe pokolenie polityków, próbujące znaleźć rozwiązania niezwiązane z lewicą i prawicą, rozpoczęło już działalność w Austrii i Francji. Duńscy socjaldemokraci zorientowali się również, że wyborcom należy zapewnić równowagę między ich własnymi interesami a otwartością humanitarną. Jednak w USA, Wielkiej Brytanii, Włoszech lub Niemczech centrum pozostawało jak dotąd puste, co bezpośrednio przyczyniło się na przykład do upadku popularnych partii niemieckich. Przegapiły temat i swoje zadania.

Nowe siły polityczne nie zawsze są ekstremistami, ale ich jednostronność raczej nie zapowiada szybkiego rozwiązywania problemów. W niemieckim nacjonalizmie energetycznym niektórzy poświęcają konkurencyjność gospodarki dla „wyzwania stojącego przed ludzkością, czyli zmian klimatu” (Angela Merkel), podczas gdy początkowo burżuazyjny sprzeciw wobec zbyt dużej otwartości coraz bardziej pogrąża się w regresywnym, nostalgicznym nacjonalizmie. Małe kraje, takie jak Singapur, mogą mieć swoje nisze. Średnie państwa nie mogą bronić się przed imperiami, takimi jak Chiny, Stany Zjednoczone i Rosja. Brexit przekształca się w farsę „America first”.

W „walce z prawicą” konkretne strony nie mają innego środka, niż walka z objawami. Przyczyny tego nie znajdują się w centrum publicznej uwagi, dopóki wyłączone są fundamentalne pytania o granice otwartego społeczeństwa. Walka z dysydentami dodatkowo destabilizuje demokracje, ponieważ nawet nie rozróżnia między tymi, którzy zachowują demokrację jako konserwatyści, a tymi, którzy chcą walczyć z demokracją jako prawicowi ekstremiści.

Samozaprzeczenie i wspólny mianownik

Pewien rodzaj postmodernistycznego marksizmu kulturowego ujawnia swoje oblicze poprzez odrzucenie własnej kultury i głoszenie równości wszystkich kultur, na równi ze świeckością i swobodą wyboru. Lęki ekologiczne pobudzają apokaliptyczne ruchy, których jednostronny punkt widzenia w sprawie zmian klimatu źle wpływa na główne zadanie polityki, jakim jest dążenie do równowagi między zagadnieniami ekologicznymi, ekonomicznymi, społecznymi, kulturalnymi i psychologicznymi.

Niefortunny słowotwór „demokracja nieliberalna” (Viktor Orbán), oznacza reorganizację wolności – poza atomizacją i globalizmem, przy pomocy tradycyjnych wspólnot, narodu i religii. Klasyczny ordoliberalizm zawsze szukał uporządkowanej wolności. Najważniejsze z tego są relacje między państwem a rynkiem, które należy rozszerzyć i zróżnicować w dobie globalizacji.

Nikt nie powinien wracać do tego, co już zostało osiągnięte. Wręcz przeciwnie – w regionach słabo rozwiniętych jedynie ekspansja indywidualnych wolności może w dłuższej perspektywie pomóc wydostać się ze ślepych zaułków zbiorowych uwikłań. Zwłaszcza na Bliskim Wschodzie liberalizm wciąż czeka na swoją przyszłość. Tam zmiana paradygmatu z kolektywizmu na indywidualne interesy – jak w Europie Zachodniej po II wojnie światowej i Europie Wschodniej po 1990 r. – musiałaby doprowadzić do zniesienia związków wyznaniowo – religijnych lub etnicznych.

Przeciwieństwa i wzajemności

Utrata centrum była poprzedzona utratą kultury otwartej debaty, która pozbawiła otwarte społeczeństwa ich największej siły. Ważne jest, aby zbudować je ponownie, aby znaleźć nowe kompromisy i syntezy. Na przykład liberalne centrum mogłoby łączyć afirmację różnorodności wielokulturowej z odrzuceniem wielokulturowości wzmacniającej różnice i zagrażającej spójności społecznej i wolności jednostki.

Inne pozorne przeciwieństwa również wymagają nowej wzajemności. To mogłoby się zacząć od bardziej zróżnicowanego wykorzystania systemów funkcjonalnych. Podstawowa globalność nauki i technologii kontrastuje z koniecznością zachowania poszczególnych kultur, nieodzowną do zachowania tożsamości i spójności.

Indywidualizm można zrekompensować intensywniejszą komunikacją. Antyimperialistyczne „lewicowe” samoograniczenie na zewnątrz umożliwia bardziej „prawicowe” samostanowienie do wewnątrz. Globalna konkurencja wymaga lokalnych przestrzeni – nie tylko w celu przygotowania się do przyszłej konkurencyjności. Sprzeczność między ochroną [siebie] a otwartością w porządku chronologicznym sama się znosi. Wolny handel i wewnętrzną solidarność społeczną można pogodzić, stosując zasadę wzajemności.

Znowu być zdolnym do działania

Nowy środek między nierzeczywistą wspólnością a regresywnym partykularyzmem może być budowany na lewicy i prawicy, na ideach ekologicznych, liberalnych i konserwatywnych. Odpowiedni priorytet wynikałby z logiki systemów funkcjonalnych. Konserwatyzm kulturowy, liberalizm ekonomiczny, władza w zakresie praworządności oraz wspierające i wymagające państwo opiekuńcze nie są przeciwieństwami, lecz wzajemnością. Właśnie dzięki swoim priorytetom centrum zyskało na znaczeniu i popularności.

W takim przypadku musiałby „kapitalizm społeczny” (Paul Collier) także połączyć globalizm z państwem narodowym, liberalizm z uporządkowaniem, otwartość z zachowaniem granic. Na poziomie globalnym wystarczyłaby cienka warstwa prostych reguł postępowania. Dzięki zdolności lokalnych graczy do działania demokracja zostałaby wzmocniona, a nowemu nacjonalizmowi odebrany wiatr z żagli.

Unia Europejska nie potrzebuje zatem jednolitości ani równości, lecz różnych prędkości i zróżnicowania swoich zadań, w zależności od wymaganych poziomów, obszarów działania i podmiotów. Brytyjczycy powinni byli w Unii Europejskiej pogodzić ponadnarodowość Unii z ochroną i suwerennością państw narodowych.

Kontrolowane ograniczenia byłyby wymagane zarówno dla większej różnorodności wewnętrznej, jak i dla większej jedności na zewnątrz. Zamiast „otwartych szeroko bram” albo „dzielących murów” metafora drzwi mogłaby pomóc zrozumieć, że – jak w każdym domu – każda forma państwowości musi być czasem otwarta, a czasem zamknięta. Strażnicy polityczni powinni wówczas zdecydować o związku między otwartością i kontrolą, dynamizmem i sterowaniem, oraz globalnymi zmianami a ochroną lokalnych wartości.

Heinz Theisen – profesor politologii na katolickim

uniwersytecie w Kolonii (Katolische Fachhochschule).

Tłumaczenie Natalia Osten-Sacken, na podst.
<https://www.achgut.com>

Poglądy autorów publikacji nie zawsze są zgodne ze stanowiskiem redakcji Euroislam.

Arabskie klany w Niemczech: wyzwanie dla państwa

Arabskie klany w Niemczech rekrutują uchodźców, wprowadzają kulturę przestępczości i próbują zdominować społeczeństwo.

Nie każda szeroko pojęta arabska rodzina jest przestępczym klanem, ale te przestępcze są na tyle liczne, że stanowią wyzwanie dla państwa, opowiada dziennikarz zajmujący się przestępczością, Olaf Sundermeyer.

W wywiadzie dla RBB24 wymienia takie klany, jak rodzina Miri, która ma 10 tysięcy członków; z kolei pochodząca z Libanu rodzina Remmo to około 500 osób, jest też rodzina El-Zein, której nazwiska wymienia się na osiemnaście sposobów. Utrzymują się z handlu narkotykami, napadów, ale także prania pieniędzy. Klan Remmo pięć lat temu okradł bank na około dziesięć milionów euro, te pieniądze zostały przetransferowane do Libanu, a stamtąd używane są do kupowania nieruchomości w Berlinie.

Film dokumentalny Sundermeyera o klanach koncentruje się też na nowym zagrożeniu, rekrutacji uchodźców na członków przestępczych gangów. Prowadzi to także do wojny wewnątrz

gangów, bo Irakijczycy czy Syryjczycy po pewnym czasie wypowiadają posłuszeństwo starym strukturom i próbują tworzyć nowe.

Niepokojące jest to, że klany te tworzą subkulturę przemocy. Nie działają jak włoska mafia, która być może działając po cichu powoduje większe straty materialne, ale otwarcie kontestują rządy prawa. Są widoczne, „bo prowokują społeczeństwa miejskie i zastępują zasady współżycia zasadami swojej dominacji”, twierdzi Sundermeyer. Mówią o tym wprost i nie unikają tematu. Stają się zjawiskiem kulturowym poprzez gangsta-rap i programy telewizyjne, takie jak [„4 Blocks”](#). Prawdziwi członkowie gangów chcą w takich programach występować i płacą nawet za to, że pojawią się w odcinku. Gloryfikacja przestępczości utrudnia z kolei pracę policjantom w rejonach działania klanów.

Policja jednak nie jest zupełnie bezbronna. Nowy projekt to akcja wyczerpania środków finansowych przestępczych grup. Naloty policji na bary szisza mają pozbawić je dochodów. Tym celom służy też konfiskata nieruchomości. Klan Remmo ostatnio stracił 77 nieruchomości i jeżeli w sądzie ich przejęcie się obroni, policja zacznie stosować tę metodę na innych klanach.

Obywatele oczekują jednak konsekwentnego stosowania prawa wobec przestępców, a to daje coraz większą popularność tym, którzy obiecują zaostrzenie prawa.

Jan Wójcik, na podst. www.rbb24.de

Hege Storhaug: Szwecja

straciła kontrolę

To, co się dzieje w Szwecji, jest niemal nie do pojęcia. Przedtem eksperci przyjeżdżali do tego kraju, żeby się czegoś nauczyć w sensie pozytywnym. Teraz przyjeżdżają, żeby studiować eksplozje, piekło przemocy i nieudaną integrację. Rząd utracił bowiem kontrolę nad własnym krajem. Ale czyja to wina?

Samochody płoną, rodziny z dziećmi budzone są przez eksplozje tuż za oknem, a w centrach miast służby saperskie próbują chronić ludność przed bombami. To chleb powszedni w Szwecji anno 2019. Nie ma prawdopodobnie kraju na świecie, który doświadczałby tak wielu eksplozji bombowych w stosunku do liczby ludności. Chcąc znaleźć taki kraj musielibyśmy ewentualnie udać się w te rejony świata, gdzie otwarcie toczą się konflikty zbrojne, pisze poseł partii Moderaterna, Arin Karapet na łamach gazety „Expressen”. „Premier Stefan Löfven utracił kontrolę nad Szwecją”, stwierdza Karapet.



Arin Karapet

Malmö na własną prośbę otrzymuje teraz wsparcie policyjne z innych rejonów kraju. Dania próbuje się chronić wprowadzając kontrole graniczne. „Obserwujemy rozwój sytuacji w Szwecji i

nie chcemy, żeby taki stan rzeczy rozprzestrzenił się na Danię” – powiedział niedawno duński minister sprawiedliwości. Innymi słowy sytuacja jest bardzo poważna.

CYTAT

„Te problemy, które nie powstały przecież z dnia na dzień, są konsekwencją bezmyślnej polityki imigracyjnej, naiwnej polityki integracyjnej i nieadekwatnych poczynań wymiaru sprawiedliwości” – pisze dalej poseł Karapet, dodając, że sytuacja tak dalece wymknęła się spod kontroli, że teraz dzieci giną z rąk innych dzieci. Izolacja od społeczeństwa i uzależnienie od pomocy społecznej zostały odziedziczone przez kolejne pokolenie. Szkoły dostają wprawdzie środki na wsparcie nowoprzybyłych imigrantów, ale niewiele to daje: „Niepowodzenia szkół sprawiają, że młodzież jest wychowywana przez ulicę i trafia prosto w objęcia gangów przestępczych i handlarzy narkotykami. Coraz więcej dzieci jest zabijanych z broni palnej przez inne dzieci” – stwierdza poseł.

W dodatku policji brakuje zasobów na zwalczanie przestępczości zorganizowanej. Przestępcom, którzy i tak dostają niskie wyroki, karę często wspaniałomyślnie się łagodzi, „a powinno przecież być odwrotnie”. Przedtem eksperci przyjeżdżali do Szwecji, żeby studiować szwedzki model państwa opiekuńczego, teraz przyjeżdżają, żeby studiować eksplozję i nieudaną integrację.

Według Karapeta do rozwiązania sytuacji wydatnie przyczyniłoby się zrezygnowanie przez Szwecję z ambicji bycia „humanitarnym supermocarstwem” i ze zbyt łagodnego, naiwnego podejścia do imigrantów. Polityk postuluje zaostrenie polityki imigracyjnej i stawianie przybyszom większych wymagań w zakresie integracji. Członkowie gangów powinni być skazywani na podwójny wymiar kary. Należy uszczelnić granice państwowe żeby uporać się z przemytem broni, narkotyków i materiałów wybuchowych. Według posła kurs obrany przez socjaldemokratycznego premiera Löfvena zaprowadził kraj w ślepy zaułek, a rząd utracił kontrolę nad bezpieczeństwem

obywateli.

Słowa jak najbardziej słuszne. Chciałabym jednak przypomnieć panu Karapetowi, że to poprzedni lider jego partii i były premier, Fredrik Reinfeldt, stwierdził w jednym z wywiadów, że granice to tylko ludzki wymysł, a Szwecja nie należy do Szwedów mieszkających w tym kraju od wielu pokoleń, tylko tworzona jest przez ludzi dopiero co tam przybyłych. Innymi słowy Szwecja nie jest własnością Szwedów.

Winę za szwedzką katastrofę ponosi całe spektrum partii politycznych w Szwecji. Niech pan w końcu też to zrozumie, panie Karapet. A potem przeprosi i zabierze się za sprzątanie tego bałaganu. To zbyt łatwe, wręcz niemoralne, obwiniać teraz o istniejący stan rzeczy inną partię polityczną, skoro to wy, wszyscy członkowie parlamentu szwedzkiego, zgodnie utworzyliście granice Szwecji sprawiając, że coraz bardziej przypomina Bliski Wschód.

Oprac. KM, na podst. www.rights.no

Hege Storhaug – norweska dziennikarka, pisarka i aktywistka praw człowieka. Autorka książki „Islam. 11 plaga” (Stapis 2017)

Polecamy nasz wywiad z pisarką: <https://euroislam.pl>

Nieregulowana imigracja to zgoda na niewolnictwo

W Polsce imigranci z krajów rozwijających się są wykorzystywani. Pracują ponad siły za kwoty urągające ludzkiej godności. Informacje o tym procederze pojawiają się w mediach, lecz kiedy próbuje się rozwiązać tę kwestię systemowo,

regulując kwestie migracyjne, środowiska związane z lewicą protestują.

Śmierć zamiast składki ZUS

Grażyna G., właścicielka warsztatu stolarskiego, zamiast udzielić pomocy medycznej swojemu nielegalnie zatrudnionemu pracownikowi z Ukrainy wywozła go do lasu, gdzie zmarł. Mężczyzna osierocił troje dzieci. To nie jedyny przypadek niewolniczej pracy. Oburzenie opinii publicznej wzbudziły także informacje o Ukraince porzuconej przez pracodawcę na przystanku autobusowym, czy kobiecie, której w maglu urwało rękę.

Prezes Międzyzakładowego Związku Zawodowego Pracowników Ukraińskich Yuriy Karyagin podkreślał, że aż 250 tysięcy Ukraińców może w najbliższym czasie opuścić Polskę, gdyż spotykają się z jawną dyskryminacją. „Pensja pod stołem, drogie mieszkanie i umywanie rąk w momencie wypadku” – wylicza serwis Money.pl .

Pracodawcom się to po prostu opłaca. Społeczeństwo traci, przez nieopłacone podatki oraz składki emerytalne, rentowe i zdrowotne. W praktyce nielegalnie zatrudnionego nic nie chroni przed wypadkami w miejscu pracy. Pracownik taki nie tylko jest okradany z przysługujących mu praw, lecz także naraża się jego zdrowie i życie.

Przy okazji warto podkreślić, że imigranci z innych stron są w gorszej niż Ukraińcy sytuacji. Język polski jest dla nich dużo trudniejszy, nie dysponują często sprawną opieką konsularną, dyplomatyczną, czy związkową, a ponadto powrót do ojczyzny wymaga więcej nakładów finansowych i pokonywania wymogów formalnych.

Niewolnicy z Filipin

W Polsce istnieją swoiste obozy pracy niewolniczej – takie są wnioski ze śledztwa dziennikarskiego przeprowadzonego przez

reporterów „[Superwizjera](#)” (TVN). Bogate zachodnie firmy transportowe zakładają nierzadko fikcyjne placówki w Polsce, które w zasadzie trudnią się handlem ludźmi. Zatrudnianiem Filipińczyków, zwerbowanych za pomocą mediów społecznościowych do niewolniczej pracy zajmowali się „przedsiębiorcy” z Koszalina. Filipińczykom obiecywano wysoką pensję, możliwość sprowadzenia do Europy swoich rodzin, szkołę dla dzieci i ubezpieczenie zdrowotne.

CYTAT

Zanim jednak trafili na Stary Kontynent, musieli zapłacić koszty podróży, pozwoleń na pracę oraz prowizję pośrednika. Opuścili więc swoje rodzinne strony zadłużeni lub pozbawieni jakichkolwiek oszczędności. Na miejscu okazało się, że wszystkie zapewnienia były jedynie przynętą. Kierowcy ciężarówek spali w kontenerach lub miesiącami jeździli po Europie bez zakwaterowania, albo zmuszani byli do kopania rowów, czy prac budowlanych. Ich pensja w rzeczywistości oscylowała od 900 do nawet 250 euro. Słowa wykorzystywanych Filipińczyków brzmią przerażająco: „Obiecali mi 1700 euro pensji. Jak przyjechałem do Polski, wszystko było odwrotnie. Byłem zszokowany” – mówi jeden z wykorzystywanych kierowców, który przez siedem miesięcy, pozbawiony zakwaterowania, wykonywał swoją pracę w zasadzie bez przerwy.

Niewolnictwo to nowy trend

„Firmy, które oszukują i wykorzystują pracowników mają duży udział w branży transportowej. Teraz jest tendencja do zatrudniania pracowników spoza Unii Europejskiej, bo mają mniej praw, nie rozumieją przepisów, tym samym można im mniej płacić” – powiedział na antenie TVN holenderski związkowiec Edwin Atema. Zachodnie firmy wołają ponadto korzystać z pracowników zarejestrowanych w Polsce, gdyż zamiast ponad trzech tysięcy euro, zatrudnionym formalnie nad Wisłą można płacić trzy razy mniej. Proceder jest prosty: w Polsce rejestruje się firmę, która wchodzi w skład konsorcjum duńskiego czy niemieckiego. W ten sposób pracodawca zachodni

nie zatrudnia pracowników z Azji bezpośrednio. Zapewne w Danii Filipińczycy w ogóle nie dostaliby pozwolenia na pracę, w Polsce natomiast wydano kierowcom spoza Unii Europejskiej 70 tysięcy pozwoleń na kierowanie zarejestrowanymi w kraju ciężarówkami.

Imigracyjny model oparty na dyskryminacji

W debacie na temat imigracji często można usłyszeć argument, że trzeba sprowadzać do Polski pracowników, gdyż brakuje rąk do pracy. Tymczasem w większości przypadków chodzi o to, że pracownikom spoza Unii Europejskiej można płacić mniej niż obywatelowi Rzeczypospolitej, nie mówiąc już o stawkach obowiązujących w Niemczech czy Danii.

Model jest prosty – sprowadzamy do Europy ludzi, którym będziemy płacić mniej, niż wynoszą stawki rynkowe lub będziemy ich zatrudniali na czarno, oszczędzając na składkach ZUS i podatkach. Skutkiem takiej polityki jest w dłuższej perspektywie ochrona interesów przedsiębiorców, gdyż dumping płacowy wymusza obniżkę pensji na rynku, na którym się go prowadzi. Ponadto model ten opiera się na dyskryminacji. Sprowadzanie taniej siły roboczej opłaca się biznesmenom, nie opłaca się jednak społeczeństwu i samym imigrantom, którzy doświadczają nierównego traktowania.

Polska potrzebuje polityki migracyjnej

Polska bezwzględnie potrzebuje polityki migracyjnej, która będzie zwalczała dyskryminację płacową i reprezentowała interesy wspólnoty, a nie poszczególnych grup interesu. Kiedy rząd PiS pracował nad dokumentem, media dotarły do projektu dokumentu i swoją krytyką, często nieuzasadnioną, storpedowały go.

Najbardziej dziwi głos ukraińskiej publicystki [Oleny Bobakovej](#), która zarzuciła rządowi, że ten chce budować relacje niewolnicze z przybyszami z Ukrainy. W rzeczywistości jest zupełnie odwrotnie – to brak takiej polityki w dużym

stopniu umożliwia współczesne praktyki oparte na relacji [pan – niewolnik](#).

Piotr Ślusarczyk